

# TYGODNIK POWIEŚCI.

Nr. 5.

POZNAŃ, 2<sup>go</sup> Listopada 1878 roku.

Rok I.

Prenumerata w Poznaniu i na Prowincyi  
rocznie 8 marek — półrocznie 4 marki —  
kwartalnie 2 marki.

Wychodzi co Sobotę w objętości 1 — 1½ arkusza.

W Galicyi wynosi prenumerata kwartalnie  
1 zlr. 25 cent.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie  
i urzędy pocztowe.

## Koleje życia.

Powieść

J. J. JEŻA.

(Ciąg dalszy).

To ostatnie, w niniejszym opowiadaniu jawi się jako rzecz całkiem nowa. Natychmiast z tego się wytłómaczę.

Najprzód, nigdzie nie powiedziałem, że Dyana była świętą. Z tego przeto mego milczenia możnaby wnioskować, że w tej materii nic nie miałem do powiedzenia w materii nieświętości.

Powtóre, sam sposób jęj pobrania się a następnie rozstania z mężem, dostatecznym jest dowodem, że na pewne względy światowe (tylko nie wielkie) zapatrywała się przez ramię, od niechcenia, jak na przesady, potrzebne dla tłumu, dla hołoty, dla jakiegoś tam wreszcie społecznego czy może tylko administracyjnego ładu, wymagającego dokładnych spisów i rozklasyfikowań ludności, w celu nie pomylenia się przy poborze podatków i rekruta. Wybrańce Opatrzności, opatrzeni milionami mogą owe względy obchodzić, bez narażenia ładu na szwank.

Potrzenie, gdybym mógł, dzień po dniu, godzina po godzinie, opisać całe Dyany życie, od chwili w której ona z mężem się rozstała, stanąłbym przed publicznością, z pełnymi dowodów rękami, że świętą nie była. Żyła bowiem jak motyl, co chwila w innym kochając się kwiatku. Żyła w ten sposób póty, póki nie ukąsił jęj demon edukacyi i nie wtrącił w piekło ciężkiej, dusznej, nasiąkniętej naukami atmosfery. Mogła o sobie powiedzieć, że jak Dante za życia przeszła przez piekło. Tego było dla niej aż nadto. Czas był już wielki do motylowego powrócić życia.

Ale, niestety! miała czterdzieści lat. W tym wieku przerwa jest zerwaniem. W tym wieku, wielkoświatowy

życie snuć trzeba jednym tchem, nie puszczając z palców ani na moment nitki Arjadny, albowiem puściwszy ją, grozi zablądzenie w labiryncie bez wyjścia. Młode kobiety? co innego: te mogą sobie pozwalać bardzo wiele.

Dyana przypominała sobie, jak była młodą. Gdy onego czasu powróciła po trzechletniej niebytności i powróciwszy, rozstała się z Endymionem, o! jakże od razu stała się interesującą! jak ją otaczano i szukano! Dziś zaś — gdyby wróciła?

To zapytanie wysokiem pierś jęj podniosło westchnieniem.

Dyana znała swój świat na wylot i wiedziała, że dziś, gdyby wróciła, musiałaby błądzić w labiryncie zmienionych stosunków; na miejscu zerwanych wiązać nowe węzły; zamiast być poszukiwaną, samęj szukać i nie znajdować i narażać się na — śmieszność.

— Śmieszność? raczej śmierć! zawołała.

W tym wykrzykniku dzwoniła energia, znamionująca postanowienie niezłomne. Jakiemże to postanowienie było? oto: nie wracać na wielki świat, na którym w perspektywie ukazywała się jęj straszna rzecz — śmieszność.

*Plutôt la mort!*

Z drugiej jednakże strony: miałż pozostać z ludźmi, których życie podobnem było do zegarkowego gangu, posuwającego skazówkę wiecznie i wiecznie po jedną i tęj samęj drodze z godziny na godzinę? miałż pozostać z ludźmi, noszącymi w piersi, zamiast serca, coś nakształt maszynki ulepionęj z papier maché, w głowie,



zamiast błyskotnych pomysłów, łaskotliwych i pierzchliwych, przestarzałe teorie, hipotezy, formuły i eksperymenta?

*Plutôt la mort!*

Przyznać potrzeba, że położenie jój nie należało do najłatwiejszych. Tu syn, tu ona; tam straszna śmieszność, owdzie śmiertelne nudy. Uciekając się do przyrównania śp. klasycznej szkoły, powiedzielibyśmy, że nawa jój życia wpadła pomiędzy Scyllę a Charybdę. Tu rozbicie i tu rozbicie. Powiedzielibyśmy jeszcze, że jój gwiazda się zaćmiła.

O! zaćmiła się. Blask czarny oczu przygasał, karmin ust zblaknął, tylko kibić, przy niewielkiej pomocy toaletowych środków, zachowała dawną wiotkość. Lecz sama kibić nie wystarcza do królowania w salonach.

Wprawdzie pozostawała jój jedna ogromna zaleta, a tą był milionowy majątek, posiadający własność tworzenia uroków z niczego. Miliony wyprowadziłyby ją z labiryntu, powięzły węzły i sprawiły, iżby była poszukiwaną — ale przez kogo — oto przez salonowe cygaństwo, dla którego w świetnych dniach miała spojrzeń pogardy. Miałażby się dziś zniżyć do poziomu, po którym owo cygaństwo pełza? A! toczy sama chyba sobą pogardziła.

W tym stanie rzeczy jedyną jój ucieczką mającą wszystkie właściwości deski zbawienia, była praktyczna filozofia, ukazująca jój w perspektywie cichą ustroń, pustynię, a w niej królestwo podobne trochę do tego, jakie sobie lady Stanhope wśród Arabów urządziła. Ogromny majątek, tysiące poddanych, pyszny pałac, zdrowe wiejskie powietrze, polowanie, rybołówstwo, lektura, umiarkowany pokarm dla umysłu, umiarkowanie w zaspakajaniu potrzeb zmysłowych: ot i królestwo, w którym ona, pomimo czterdziestu lat, mogłaby odegrać rolę czarodziejki i grać ją bez końca, to jest aż do końca. W tem królestwie doskonale mogłaby się odbywać edukacja Eljasza. W tem królestwie doskonale mogłby funkcjonować i ów młodzieniec w akademickim mundurze. Byłoby miejsce dla wszystkich i dla wszystkiego, a ona, wolna od upokorzeń wielkiego świata i od nudów świata uczonego, byłaby znów gwiazdą — królową.

Wyznać należy, że najmocniej interesowała ją kwestya edukacyjna. Ten jednakże problemat rozwiązywała sobie następującem rozumowaniem. Jeżeli Eljasz niczego się nie nauczył od profesorów, to do czegoż doprowadzi męczenie go naukami! Można by dać temu pokój. Nie godzi się jednakże siedmnastoletniego człowieka zostawiać samemu sobie. Trzeba mu dodać jakiegoś przewodnika, mentora, który nie nękać jego umysłu, nasuwałby mu wiedzę w sposób taki, ażeby ani się spostrzegł, że to nauka.

Na końcu tego rozumowania występowała znów postać młodzieńca w akademickim mundurze, młodzieńca, którego Dyana wyróżniała wśród tłumów, snujących się jój w Odessie przed oczami. Widywała go to tu, to owdzie, zawsze z rumieńcem zdrowia na policzkach,

z wyrazem niewinności w oczach i z tym w całej postaci wyrazem, jaki malarze usiłują nadać Józefowi synowi Jakóba, wydzierającemu się z objęć Putifarowej. Zetknęła się z nim na lekcji fizyki — niechęący.

Niechęący? Gotowi mnie czytelnicy pomówią o oszczerstwo. Cóż robić!... Interes prawdy stawię wyżej niż obawę posądzenia i dla tego opowiedzieć muszę tajemnicę tego „niechęący“.

Edward, jako młodzieniec *porządny*, wybrawszy sobie na pierwszej lekcji miejsce, już go na następnych nie opuszczał. Zawsze stawał w głębi sali trochę z boku od profesora, dla ułatwienia sobie przypatrywania się eksperymentom.

Dyana na pierwszej lekcji zajęła krzesło pierwsze lepsze; lecz na drugiej i następnych lokowała się w pierwszym rzędzie, naprzeciwko Edwarda w takiej pozycji, że jój lornetka, skierowana niby na instrumenta, odbijała na szkiełkach postać młodzieńca.

Punkta, w których stał Edward i siedziała Dyana, wypadły tak, że gdyby od Edwarda prosto do drzwi wchodowych poprowadzić linię, to linia ta przeszłaby przez Dyaną.

W tem, przynaję, było „niechęący“. Kierunek tej linii wypadł bez wszelkiej premedytacyi ze strony Dyany, która wypadku z Drumonda światłem przewidzieć nie mogła.

Lecz gdy pęknięcie nastąpiło, w téjże samej chwili urodziła się i premedytacya, która spowodowała, że ramiona Dyany objęły Edwarda i nabyły siłę do wytrzymania wszystkich szarpań, targań i szturchańców. Edward nie mógł inną ratować się drogą, tylko w prostej linii, a na tej linii czekała na niego Dyana i była pewną, że się doczeka i ani trochę się nie zdziwiła, gdy go przed sobą przy błyskawicowym świetle eksplozyi ujrzała. Była to jedna chwila, taka krótka jak mgnienie żrenicy; lecz ona umiała i z niej skorzystać. Przestрах, którym ją gotów ktoś usprawiedliwiać, właśnie jój tu najwięcej dopomógł, bo piorunowym sposobem rzucił myśl j j ku Edwardowi, jako ku istocie sympatycznej, w której widziała ratunek.

A jeżeli tam była premedytacya, to już nie mam potrzeby rozwodzić się nad pobudkami, które skłoniły Dyaną u Ottona do zaproszenia Edwarda, ażeby ją w jój pomieszkaniu odwiedził.

## VI.

Pierwsza wizyta skończyła się tak jak na niczem. Edwarda zakłopotał przepych, wśród którego raptem się znalazł. Był zmieszany, niezgrabny; zawadzały mu kobierce, po których deptał, zawadzały mu książki, których widział stopy całe; malowidła, statuetki, rzeźby, zwierciadła, brzozy sprawiły mu roztargnienie; więc nie mógł zdobyć się ani na prowadzenie rozmowy, ani nawet na porządne odpowiadanie na zadawane zapytania.



— Pan kończysz wkrótce liceum? zaczęła go Dyana.

— Tak jest, pani, odpowiedział.

— Pan jesteś na kameralnym fakultecie?

— Tak jest, pani.

— Pan utrzymujesz się z lekcji?

— Tak jest, pani.

— Po skończeniu liceum nie będziesz pan lekcji dawał?

— Tak jest, pani.

— Pozwólże mi pan zapytać siebie, co pan z sobą robić zamýślasz?

— Tak jest, pani.

Dyana się uśmiechnęła i dalej pytała:

— Czy masz pan zamiar wejść do służby publicznej?

— Tak jest, pani.

— Czy możebyś wolał posadę prywatną, a korzystną?

— Tak jest, pani.

Na fotelu było mu niewygodnie, pomimo, że ten pod względem wygody do życzenia nie zostawiał nic; był bowiem miękki, zapadający się głęboko a elastyczny. Ale Edward usiadł na samym brzegu, zaokrąglonym i z powodu aksamitnego obicia ślizkim. Musiał więc robić wysiłek, celem utrzymania równowagi, ażeby nie wywrócić się na wznak lub nie paść na kolana.

Dyana, pilnie gościa swego od stóp do głowy oglądająca, spostrzegła to. Uśmiechnęła się, poprosiła go, żeby wstał i wyprowadziła do ogrodu. Tam na plecionej z imitowanych brzoźowych gałęzi ławeczce, związała z nim na nowo rozmowę, która się powiodła trochę lepiej, przynajmniej o tyle, że na jedne zapytania odpowiadał Edward „tak jest,” na drugie „nie,” na trzecie „nie wiem.” Na powtórzone naprzykład zapytanie: „co pan z sobą zamýślasz zrobić po ukończeniu liceum?” odpowiedział wyraźnie:

— Nie wiem, pani.

— I nie myślałeś pan nic o tem?

— Myślałem, ale... ale...

— Nic nie postanowiłeś?

— Nic, pani.

— To i dobrze, podchwyciła Dyana, bo może na postanowienie pańskie wpłynie propozycja, jaką chcę mu zrobić. Powiem ją panu w krótkich wyrazach. Potrzebuję do mego syna człowieka, któryby mu był towarzyszem, a zarazem przewodnikiem i mentorem. Słyszałam o panu od profesorów pańskich tyle dobrego, że pragnęłabym, ażebyś zechciał być tym człowiekiem. Wyświadczyłbyś mi dobrodziejstwo wielkie, za które z mojej strony starałabym się wywdzięczyć panu wszelkimi sposobami, nie licząc w nie sześciu tysięcy złotych rocznego honorarium, którego panu nie zapewni żadna publiczna ani prywatna posada. Nie chcę jednakże na pana nalegać ani też się panu narzucać; namyśl się, rozważ i przyjdź

do mnie kiedy zechcesz. Moje drzwi w każdej chwili otwarte są dla pana.

Na Edwarda propozycja ta takie zrobiła wrażenie, jakby przed nim oślepiający padł z nieba meteor. Zaledwie wierzył uszom własnym, a powróciwszy do swego mieszkania, zdawało mu się, że jest pod wrażeniem snu na jawie, który sobie z niego igraszkę zrobił.

Jak to! sześć tysięcy złotych polskich? a przytem, oczywiście, pomieszkanie i jedzenie i światło i opał opranie i wszystko? I sto tysięcy stanęły przed nim w nadzwyczajnie blizkiej perspektywie. Zasiadł przy stole, położył przed sobą arkusz czystego papieru, wziął pióro do ręki i począł rachować. Dodawał i dodawał, potem tworzył propozycje, mnożył i dzielił i skończywszy rachunek, uśmiechał się do rezultatu, w którym tylko jedna zachodziła niepewność, a tą była cyfra złotych polskich, jaka wypaść miała z kalkulacji stryja. Ta niepewność stała się chmurką na jasnym tle nieba jego nadziei. Za tę niepewność gniewał się na stryja.

— Proszę! co to za nieporządek! nie trzymać rachunków!

Zrobiwszy swój rachunek, o niczem nie myślał, tylko o pójściu do pani Endymionowej i powiedzeniu jej, że na jej propozycje przystaje. Chciał iść natychmiast nazajutrz. Wydało się mu jednakże, że to nie wypada. Więc zwlekał z dnia na dzień. A potem począł się lekkać, ażali mu się co nie przesłyszało. A jeżeli się przesłyszało, to mu się żal robiło za illuzją, która mu kilka rozkosznych darowała chwil. Zwlekał cały tydzień i w końcu poszedł we wtorek o piątą godzinie, w tym samym dniu i o tój samój godzinie co minionego tygodnia.

Dyana była sama.

— Kazałeś pan tak długo czekać na siebie, rzekła po przywitaniu.

— Nie mogłem: miałem zatrudnienie, odbąknął Edward.

— Chodźmy do ogrodu.

Posadziła go na ławeczce, usiadła obok niego i związała z nim rozmowę, która tym razem doskonale się powiodła. Edward posiadał całą przytomność umysłu, dawał odpowiedzi jasne i stósowne.

Dyana opowiadała mu kłopoty swoje z edukacją syna.

— Nie chcę ja, ażeby on był uczony. Dla niego uczoność niepotrzebna. Niechby mu tylko nic obcem nie było. Niechby mu ktoś nieznacznie, niesystematycznie, korzystając z chwilowego jego usposobienia, mówił to o tem, to o owem i tym sposobem, ukradkiem, wsuwał w jego umysł wiadomości. Nie będę się nigdy pytała, czy i jakie Eliasza czyni postępy; przekonana bowiem jestem, że na wsi, gdzie nie ma żadnych dystrakcyi, postępy być muszą wielkie? małe? a być muszą, gdy go nie będą nudzili profesorowie, gdy mu nie będą na senność dawali w codziennych dozach formuł, hipotez, teorem, problematów etc. Bądź mu pan towarzyszem, nie gubernierem. Ile pan masz lat?



— Dwadzieścia jeden.

— On ma siedmnaście. Różnica nie wielka, tem lepiej. Eluszek nie będzie nawet podejrywał, że pańskiem zadaniem jest nauczenie go czegoś, a dla lepszego zamaskowania rzeczy, nie będziecie mieszkali razem i pan będziesz grał rolę mego lektora. Będziesz mi czytywał rano gazety, wieczorami książki; resztą zaś czasu rozporządzaj jak się panu podoba. Czy zgoda?

Przy zapytaniu tem podała mu rękę, którą Edward z uniesieniem pocałował. Było to uniesienie radości.

— Kiedyż rozpoczniesz pan funkcję swoją?

— Muszę pierwój zdać egzamina.

— Więc po egzaminach?

— Muszę jeszcze (tu westchnął) pojechać do stryja.

— Po cóż do stryja? rzekła pani z pewną niecierpliwością. Chciałabym posiadać pana natychmiast, ażeby jak najprędzej plan mój do skutku przyprowadzić.

— Muszę jechać, odparł Edward.

— Nie możnaby téj podróży odłożyć na później?

— Muszę jechać, powtórzył. Wzywają mnie interesa; sukcesya po ojcu; kalkulacya opieki.

— Rozpowiedzże mi pan interesa swoje, rzekła Dyana tonem przyjacielskim, przysuwając się do Edwarda. Nie bierz ciekawości mojej za złe. Nie jest to ciekawość prosta. Pan mnie już bardzo interesujesz, a z panem i interesa pańskie.

W krótkich wyrazach opowiedział Edward o swoim położeniu.

— Więc pan podejmiesz swój kapitalik?

— Jeszcze sam nie wiem; zobaczę.

— Jaki policzasz procent?

— Siedm od sta.

— Ja dam panu od sta ośm

Edward głęboko westchnął.

— I jeżeli zechcesz, ciągnęła dalej, przyłączać do kapitału procenta, to w każdym roku będziesz miał większy kapitał i większe procenta.

Edward jeszcze westchnął głębiej.

— Czy masz pan co przeciwko temu?

— Nic, odparł ściskając ramionami i zwracając na Dyane oczy pełne zachwyty.

— A więc?...

— Nie wiem... prawdziwie, bąkał, zkął tyle... dla mnie... łaski.

— Ech! nie mów o łasce! przerwała Dyana z niecierpliwością. Z tego coś mi o swoim opowiedział położeniu, poznaję, że nie musisz mieć dokładnego wyobrażenia o milionach. Czy rozumiesz, co to znaczy mieć dwa miliony rocznie czystego dochodu?

Edward szeroko otworzył oczy. Dyana mówiła dalej.

— Chciałoby się to użytkować jak najlepiej. Kto więc do użytkowania dopomaga, ten wyświadcza prawdziwą łaskę. I pewną jestem, że jeżeli w końcu, kiedyś, po wielu a wielu latach, porachujemy się, pokaże

się, że nie pan mnie, ale ja panu będę dłużną podziękowaniem za łaskę.

Zamilkła i trochę się zamyśliła i po chwili dodała:

— Zdawajże pan egzamina, jedź do stryja, załatw swoje interesa i przyjeżdżaj wprost do Kamionki, gdzie będę pana z niecierpliwością wyglądała.

Edward wstał, aby się pożegnać, lecz Dyana jeszcze go zatrzymała.

— Ale, ale! Potrzebujesz na' podróż i na zrzucenie mundurowej skorupy. Jedno i drugie biorę na swój rachunek. Na podróż wyasygnuję panu pewną kwotę, co się zaś reszty tyczy, to tem zajmę się sama, a to dla tego, rzekła z uśmiechem, że zdaje się iż w tym względzie jestem kompetentniejszą niż pan. Naszłę tam panu wszelkiego rodzaju rzemieślników, którzy będą wiedzieli; co robić. Czy pan spuszczasz się na mój gust?

Edwardowi nie pozostało nic innego, tylko podziękować.

— Tymczasem zaś, jeszcze dodała, zapraszam pana raz na zawsze, póki jesteśmy w Odessie, we czwartek i w niedzielę na objad.

— No, rzekł nasz bohater sam do siebie, wyszedłszy od Dyany, mam przecie prawo powiedzieć, że się pod szczęśliwą urodził gwiazdą.

To samo, tylko dobitniej, powtórzył po pierwszym obiedzie, przy którym jadł takie a tak wykwinie przyrządzone potrawy, z takimi rosolami i przyprawami, o jakich wyobrażenia nie miał. Przestał więc chodzić do Ottona, tylko kiedy niekiedy do Karuty na czekoladę lub ponczyk zaglądał, i wesoly, zadowolony, doczekał się egzaminów, szczęśliwie je odbył, dostał atestat na pargaminie, wziął pieniądze na podróż i przystrojony jak najwytworniej od stóp do głowy, zaopatrzony w cieniutką bieliznę i we wszelkie potrzeby toaletowe, ruszył do Snitek.

Stryj, stryjka, stryjeczne siostry i stryjeczni bracia, z których dwóch w tym samym czasie z Kijowa na wakacje przyjechało, wiele się Edwardem po trzechletnim ucieszyli niewidzeniu. Doktorstwo witali go jak dziecko rodzone. Doktorowa nie mogła się na niego napatrzeć.

— A jakżeś urosł! a jakżeś się odmienił! a jakżeś wyładniał!

— Zepsujesz chłopca, jak będziesz go w oczy chwaliła, zauważył doktor z uśmiechem.

— Przecież to już nie dziecko, tłumaczyła się doktorowa. A od najmłodszego dzieciństwa alboż go ludzie nie chwalili wciąż? przecież się nie zepsuł.

Siostry poczęły znosić przysmaki. Każda, a było ich trzy, coś na przyjęcie Edwardka przysposobiła. Nastawiały przed nim różnych rzeczy, i dalejże do niego się przysiadła i przymilała i zapraszała.

Taką ta zacna rodzina otoczyła go serdecznością i uprzejmością, że powinno mu było serce się rozpląnąć.

Edward nie uwiadomił stryja o umowie, jaką z Dyaną zawarł. Więc doktor nic o tem nie wiedział i nie



pytał Edwarda, co postanowił nadal z sobą zrobić. Zdało się mu, że nic jeszcze nie postanowił i dla tego przygotował się z radami dla synowca. Rady te jednakże odłożył na później. Pierwój chciał, żeby sobie Edward pod jego dachem odpoczął; żeby jak powiedział:

— Otrzymał się trochę ze szkolnej pleśni, przewietrzył na otwartem polu.

Był bowiem tego zdania, że nauki wówczas dopiero użytek niosą, kiedy nieco z głowy wywietrzeją.

— Z naukami jak z żelazem, powiadał. Wprost z pod młota do rąk go wzięść nie można, bo sparzy użytecznym staje się nie pierwój, aż ochłodnie.

W tym celu, z jednym ze swoich sąsiadów, wielkim myśliwym, umówił się o polowania dla Edwarda; z drugim, zawołanym gospodarzem, o wezwanie go, niby do pomocy, w czasie żniw i kosowicy; z innym, o zaznajomienie go w sąsiedztwie; sam miał projekt herboryzować i Edwarda tem głównie zatrudnić; a potem kiedyś, po pół roku, naprzykład, powiedzieć mu:

Trzeba to, żebyś pomyślał o sobie.

I z tego punktu wyszedłszy, rozsunął przed nim obrazy różnych zawodów, w których człowiek użytecznym być może społeczeństwu.

Jakiemże było starego doktora zdziwienie, gdy w dniu przyjazdu wieczorem, oddając mu dobranoc, w te do niego Edward odezwał się słowa:

— Jam do stryja przyjechał na bardzo krótko, tylko po to, ażeby załatwić interesa. Niechże więc stryj będzie łaskaw jutro zda mi kalkulację i pomoże do odebrania mego fundusiku.

— Jutro! zawołał doktor z przerażeniem prawie.

Ten wyraz wywracał wszystkie jego plany.

— Jutro, stryju, powtórzył Edward zimno i stanowczo. Jestem już, według brzmienia testamentu mego ojca, pełnoletni.

Te wyrazy były w taki sposób i takim wymówione tonem, że doktorowi jakies zimno po żyłach przebiegło. Odrzekł:

— Dobrze: więc jutro. Wstaję jak wiesz o piątój. Do ósmój, jeżeli mnie gdzie nie wezwą, czekam na ciebie.

Nazajutrz o piątój, nie doktor na Edwarda, ale Edward, umyty i ubrany, czekał na doktora w pokoju, zwanym kancelaryą, w którym konsyliarz dawał posłuchania przychodzącym do niego chorym. Był to pokój osobny, rodzaj lekarskiego *sanctissimum*, napełniony książkami, słoikami, flaszkami, paczkami i chirurgicznymi instrumentami, do którego nikt z rodziny nie miał zwyczaju zaglądać.

— Tak rano? musi ci być pilno: zawołał wchodząc, ujrzawszy synowca; a usiadłszy przed biurkiem, zapytał:

— Powiedzże mi, Edwardzie, czego się tak spieszysz.

Edward opowiedział o posadzie jaką dostał, a gdy wymienił nazwisko Dyany, doktor się trochę zmarszczył i rzekł:

— Magnatka. Trzeba być z tym rodzajem ludzi ostrożnie.

Edward nie na to nie odpowiedział.

(C. d. n.)

## WARYAT.

NOWELLA

BRET - HARTE'A.

PRZEKŁAD

A. CALLIER.

(Dokończenie).

Coś stało się widocznie! Ale co?... Nie było o czem mówić. Zapytany odpowiedział szybko ale z widocznym niepokojem: jeden z panów próbował wyłamać kamień ze ściany sztolni i przy tej sposobności wyrwał jedną z podpierających ją belek. Zapadło się w tem miejscu i pan ów zasypany został po ramiona. Niema wszakże czego się obawiać; za kilka minut go odkopią, — trzeba przecież niezmiernie ostrożnie brać się do dzieła, ponieważ mogłoby łatwo zapaść się więcej jeszcze. Kto był ów pan nie wiedział pytany. Był to mężczyzna niskiego wzrostu — mąż tej wesołej, żywej pani, ot tam — téj z czarnymi oczyma.

Hola! hola! Tylko nie tam! Trzymajcie ją, panowie, na miłość boską, zawróćcie! tam droga niebezpieczna —

rzuciła się w szachtę, — niezawodnie śmierć tam znajdzie!

Ale owa wesoła „pani“ porwała się już i znikła. Z szeroko rozwartymi oczyma starała się przedrzeć ciemność; rękami i nogami siliła się przemódz i pokonać gęstą noc podziemi. Ciche, trwożne jęki wrywały się z jej piersi a lekka noga z szybkością strzały pędziła w kierunku, w którym migotały w dali złowieszce górniczych lamp płomyki. Biegła wciąż dalej, dalej. Dażyła poprzez zwodne pęknięcia i rowy, biegła bez tchu krzyżującymi się co krok galeryami i sklepieniami kopalni, aż nagle bezprzytomna niemal w tym rozpaczonym biegu wpadła prosto w ręce waryata Five-Forks.

Zrozpaczona pochwyciła go za rękę.



— O, ratuj go panie! — zawołała. — Jesteś kopaczem złota. Wiesz gdzie jest to okropne miejsce. Powiedz mi gdzie mam iść, co czynić. Błagam pana dopomóż mu, przedź, o, przedź, — nim umrze!...

Popatrzał na nią; potem nagle z głośnym krzykiem wypuścił z rąk oskard, linę i lampkę które niósł i zatoczył się do ściany.

— *Annie* — wyjąknął cicho. — Czy to ty?...

Pochwyciła natychmiast obie jego dłonie i wyszeptwała patrząc nań szeroko rozwartymi oczyma.

— Boże! To Cyrus!

Potem upadła przed nim na kolana. Daremnie silił się uwolnić swą rękę z jej dłoni; trzymała ją jak w kleszczach i powtarzała z namiętnem błaganiem:

— Ja cię nie puszcze, Cyrusie, musisz mi przebaczyć. Musisz zapomnieć o tem co zaszło. Bóg mi ciebie zesłał. Musisz iść ze mną, musisz go uratować!

— Uratować? kogo? zawołał Cyrus bezdźwięcznym głosem.

— Mego męża!

Cios był tak dobrze wymierzony, tak pogrzebiający, tak silny, że skutku jego, mimo znacznie, silniejsze, egoistyczne pomieszanie, dostrzegła w jego twarzy i poczuła dłań litość.

— Sądziłam — zdawało mi się — żeś ty — wiedział — o tem, — wyjąkała.

On nie odpowiedział ani słowa, tylko wciąż patrzył na nią nieruchomie, nie mogąc oczu odwrócić. Zgiełk głosów w dali i przyspieszonych kroków rozżarzyły w niej na nowo namiętną trwogę. Pochwyciła znów jego rękę:

— Cyrusie! słuchaj mnie! Jeśliś przez przeciąg tych lat wszystkich kochał mnie, to mnie teraz nie opuścisz. O, ratuj go! Ty to możesz! Tyś odważny i silny — takim byłeś zawsze, Cyrusie! i ty to zrobisz — dla mnie — ja wiem! Niech cię Bóg błogosławi!

Podniosła się z kolan chcąc iść z nim. Ale on skinął ręką by została. Powoli, nawpół ogłuszony podnosił z ziemi oskard i linę. Jej, w śmiertelną serca trwodze, chwila ta zdała się całą wiecznością męczarni. Potem pochylił się ku niej, rękę jej podniósł do ust, złożył na niej długi pocałunek, raz jeszcze popatrzał na nią i — w następnej chwili już zniknął.

I nie powrócił już! Bo gdy po upływie pół godziny przyniesiono jej zdrowego acz nawpół zemdlonego męża, dowiedziała się, że obawy robotników nie były bezzasadne. Gdy próbowano odkopać zasypanego, ziemia zapadła się ponownie. Zaledwie mieli dość czasu by wyciągnąć zemdlonego jej małżonka, a już silna postać Cyrusa Hawkinsa wpadła na jego miejsce w otchłań.

Dwie godziny tam leżał, przygnieciony, z połamanymi członkami; ciężka belka przywaliła mu piersi. — ale przytomność miał zupełną i świętych rezygnacją. Przez całe dwie godziny starali się go ocalić kopacze. Pracowali z dzikim pośpiechem, to ufnie to zrozpaczeni — z wytrwałością bogów i siłą olbrzymów. A po upływie tego czasu natrafili na słup prostopadły, którego spód opierał się o ową belkę, co przygniatała pierś Hawkinsa. Zaczęli wołać o siekiery i jedna już była wzniesioną, gdy konający zawołał słabym głosem:

— Nie tykajcie go!

— Czemu nie?

Cała galerya by się zapadła.

Jakim sposobem?

— Ten słup jest jednym z podwalin mego domu.

Siekiera wypadła z rąk kopacza; trupio bladą twarz zwrócił do swych towarzyszy. Tak było istotnie! Znajdowali się w najwyższej galeryi a sklepienie zapadło się bezpośrednio pod nowym domem.

Po krótkiej chwili milczenia ozwał się waryat jeszcze słabszym głosem:

— Ta pani! — prędko.

Przyprowadzono ją — złamaną, bezprzytomną niemal kobietę, z twarzą bladą i łzami zalanymi oczyma.

— I odstąpili wszyscy gdy się zbliżyła do umierającego.

Pochyliła się nad nim.

— Jam go zbudował dla ciebie, *Annie*, moja najukochańsza, — wymówił spiesznym szeptem; z dnia na dzień czekał on na ciebie i na mnie. — Dla ciebie on przeznaczony i musisz w nim zamieszkać — z nim! Nie będzie go to niepokoić że ja tu zawsze będę tak was blisko. Boć dom ten stoi na moim grobie!

Miał słuszność. Gdy w kilka minut później zamknął oczy na sen wieczny, nie poruszono go, zapalono tylko w głowach i u nóg trupa pochodnie i całą noc czuwali przy nim towarzysze.

Następnego dnia zamurowano galeryą w tém miejscu, w rodzaju grobowca; nie położono przecież ni kamienia, ni innéj na nim oznaki wspomnienia. Pomnik wznosił się ponad nim lekki, jasny, kąpiący się w słońca promieniach, na samym wzgórzu wierzchołku.

A każdy, kto usłyszał coś o jego dziejach mówił: „Pomnik na jego mogile nie mówi nic o śmierci, smutku lub żałobie, jak wszystkie mogiły pomniki; jest on raczej symbolem życia, światła i nadziei, — to też niechaj wszyscy wiedzą, że ten, co pod takim spoczywa pomnikiem, w oczach ludzi może uchodzić tylko za „waryata“.

## JAKÓB DE TRÉVANNES,

przekład z francuskiego

F. W.

(Ciąg dalszy).

— Co pani każeś? zapytał.  
— A więc!... ponieważ pan tu jesteś, zostań kilka dni jeszcze.  
— Ale gdzie się spotkamy?...

— Przyjdiesz pan jutro do mego ojca, rzekła z prostotą.

Z obawy, aby nie wzbudzić uwagi w Kérouac, Jakób ukrywał się u gajowego, o dwa kilometry od zamku.



Wrócił do siebie z duszą tak pełną radości, iż myślał, że to sen tylko. Po tylu trwogach i niepokojach nie łągała wcale tego nierozsądnego wybryku kochanka, do którego przywiodło go pragnienie widzenia jój.

„Jutro do mego ojca“ powiedziała. Był zarazem zachwycony i zmieszany tym uroczym rozkazem, cokolwiek zaniepokojony tem jak go przyjmą, zakłopotany na myśl ukrywania, lub zdradzenia się. Z niewystowioną obawą oczekiwał chwili przedstawienia się. . . Przeszedłszy bramę, zatrzymał się w szerokiej alei, przypatrując się wysmukłym wieżom zamku. Przybył na ganek nieśmiały, robiąc już sobie wyrzuty, że na to przystał, nie wiedząc co trzeba będzie mówić, a co zamilczeć. Służący wyszedł na jego spotkanie z twarzą pomieszaną, z powodu téj rannéj wizyty i wprowadził go bez ceremonii, otwierając przed nim podwoje wielkiej sali.

Na widok nieznanego, pan de Kérouac rzucił pytające spojrzenie na córkę i żonę, w którym malowało się zdziwienie. Aurora wstała; wzięła Jakóba za rękę i z tym poważnym wdziękiem, uwydatniającym się w najmniejszym jój ruchu, podeszła z nim ku ojcu i matce.

Przedstawiam kochanym rodzicom pana Jakóba de Trévannes, rzekła łagodnie, uroczystym głosem, pana de Trévannes, którego kocham i którego wybrałam za męża.

Na te słowa, margrabia poruszył się na krześle, margrabina w pół podniesiona w fotelu, zatrzymała na nieznanym wzrok, nagłem rozczuleniem zamglony.

— Witaj, rzekła.

Zdziwiony nieprzewidzianą śmiałością Aurory, Jakób zupełnie stracił głowę, ale te patryarchalne zwyczaje, to zaufanie, wzruszyły go do głębi serca. — Nadchodziła godzina śniadania, margrabia bez zaproszenia go, kazał dać jedno nakrycie więcej.

— Skryta! rzekł do córki szczypiąc ją w policzek.

Ugoszczono Jakóba, a żadne uprzedzenie rodziców nie maciło ich radości. — Aurora wybrała go! A więc był godnym jój. Siedząc obok matki, słuchała, milcząca, podczas kiedy ojciec zasypywał ukochanego pytaniami. Chwilami ścisnęła rękę margrabiny i obiedwie kobiety, zachwycone, zamieniały jedną i tę samą myśl w uśmiechu.

Po skończonem śniadaniu, poszli wszyscy zwiedzić folwark. Pod rękę idąc z Jakóbem, margrabina z kolei go wypytywała. Kochali się: wszystko mieściło się w tem słowie, a piękne plany na przyszłość układano dalej swoją drogą. Młode małżeństwo miało przyjeżdżać do Kérouac w wolnym czasie pozostałym mężowi od pracy. Dzień upłynął jak zaczarowany. Po obiedzie, duży ogień palił się w salonie; pierwszy o téj porze. Zebrano się na okół kominka. Skoro gość powstał na pożegnanie, margrabia serdecznie uściśnięła mu rękę.

— Do jutra, rzekł.

Jakób należał już do rodziny.

W spokoju, którego nie odtąd zamącić nie miało, szczęśliwi kochankowie oddawali się swym marzeniom. Jednakże niepokoiły ich wyrzuty sumienia; zamilczeli o położeniu Jakóba. Aurora wiedziała, że myśl o rozwodzie przeraziłaby zasady jój rodziców; postanowili zachować tajemnicę. Zresztą nie długi czas dzielił ich od tego dnia, w którym odważą się na wyjawienie jój. Sprawa rozwodowa była rozpoczęta za pozwoleniem nawet pani de Trévannes; ostateczne rozstrzygnięcie sprawy miało nastąpić za dwa miesiące. Za dwa miesiące dokonany fakt usprawiedliwiłby wszystko.

Prosty sposób życia w Kérouac, podobał się natu-

ralnej prostocie Jakóba. Jak wszyscy ludzie myślący, lubił morze, puste jego brzegi spłókiwane często spienionemi falami; cywilizacja nie ogarnęła jeszcze tych skał i urwisk; jedynie zapomniane dolmany zdradzały ślad ludzki.

W téj atmosferze ciszy i prostoty, Aurora odzyskała swobodę i czuła się szczęśliwą. . .

— Ten chłopiec zmienił nam naszą córkę nie do poznania, mówił pan de Kérouac.

Co dzień rano Jakób przychodził do zamku, gdzie jeżeli czas był pomyślny, zajmował go margrabia, polując z nim do śniadania. Tu spotykał Aurorę. Często wychodzili nad brzeg morza; margrabina chętnie zwalniała kroku idąc pod rękę z mężem, aby dać dzieciom trochę wolności. Wieczorem wracano do zamku, a po czerniałe ściany zdawały się niejako rozjaśniać ich przybyciem. Ogień kominka rozrzuceł iskry po pokoju, po bladej kolorzy starego obicia stawały się żywszymi, ogromne trofea mieniły się błyszczącymi farbami, rdza na zbrojach zamieniała się w złoto.

Przed objadem margrabina de Kérouac, stojąc, odmawiała nabożnie błogosławieństwo, a słowo „amen“ wychodziło naraz z trzech innych ust, jakby alleluja! . . .

Przy świetle lampy rozmawiano półgłosem. Czasami Aurora siadała do fortepianu, nucąc piosnkę bretońską; która była jakoby echem melodji jój duszy.

Pewnego dnia, kiedy kochankowie powracali sami z Czarodziejskiego Kamienia do zamku, Aurora zaproponowała, przechadzkę po lesie. Zima nigdy zupełnie nie ogałaca z liści odwiecznych lasów, zachowują one jeszcze pod śniegiem draperye z ciemnego bluszczu i z mchu poczerwienionego. Nad ich głowami wiatr po gałęziach szeleścił; w sąsiednim lesie siekiera drwała uderzała z głuchym łoskotem; miejscami, świeżo ścięte drzewo zagradzało drogę. Wychodząc z lasu ujrzeli dwóch ludzi idących drogą.

— Otóż i Gerwazy, twój gospodarz, rzekła Aurora poznając gajowego; jakiś nieznanomy z nim idzie.

— To Ryszard Fourchamp, mój szwagier, odparł Jakób zdziwiony.

— Mój Boże! po co on tu przychodzi?

— Nie drzyj droga moja, nie jestemże twoim?

— Boję się rzekła z uśmiechem, ale zostawiam cię. Lepiej, że mnie nie zobaczy.

Rozstali się.

## IX.

Jakób ze swoim szwagrem przyszli do chaty gajowego. Skoro weszli rzekł Ryszard:

— Widzisz mnie całkiem wzburzonego, mój drogi. Sześć dni temu wróciłem z Afryki i dowiaduję się od Genowefy o dziwnej historii, która zaszła między wami. Myśląc, że jesteś w Genewie, pojechałem tam dotąd, ale nikogo nie zastaję, tak samo i w Glycines. Szczęściem, że twój służący Franciszek powiedział mi, że adresuje listy do ciebie tutaj. Siadam na kolej i otóż jestem! — Co to wszystko znaczy i co zaszło między twoją żoną a tobą?

— Czyż ona nic ci nie powiedziała, co zaszło? zapytał Jakób.

— Mówiono mi o jakimś poróżnieniu, śmiesznej kłótni o toaletę, w której zabraniałeś Genowefie się pokazywać. Opowiadano mi o sprzeczkach, ciągłych sce-



nach w celu zabrania jej najniewinniejszych rozrywek światowych i zmuszania jej do zamkniętego życia, jak w klasztorze... Krótko mówiąc, miały to być kaprysy despotycznego męża. Ale znam cię i wiem co znaczą takie skargi w ustach kobiet, — szczególnie takiej, jak moja ciotka. Genowefa dość jest szalona, że pozwoliła zawrócić sobie głowę tej światowej waryatce, która nią tak fałszywie kierowała, ale ona ma dużo serca i wątplię, aby w tem całym zajściu było coś głębszego. Ty jesteś moim przyjacielem, a ja jedynym opiekunem mojej siostry, skojarzyłem wasze małżeństwo, to też przybiegłem pomówić z tobą o tem... Ile jest prawdy w tej historii?...

— Właściwie, prawie wszystko! odpowiedział zimno Jakób, zapalając cygaro. Znajdowałem, że sposób życia i branie się pani de Trévannes więcej zwracały na siebie uwagi, niżeli mąż na to pozwolić może. Przyznaję, że chciałem, aby więcej dbała o swoją reputacyą. Ztąd te liczne sprzeczki, o których ci opowiadano, a które stały się tyle ważne, że spowodowały nasze rozłączenie.

— I to wszystko dla jednej toalety!... zawołał Ryszard. — Ależ Jakóbie musiało coś ważniejszego zajść pomiędzy wami... Wiem aż nadto, że Genowefa nie posiada wiele rozsądku.

— O uspokój się, odparł Jakób, nie mam powodu oskarżać jej o błędy niegodne!... Tylko, że z przyczyny owiej toalety, przedmiotu naszego zerwania, zapomnieli ci powiedzieć, że kiedy stawiałem opór, rzucono mi w twarz tem, że nie mam prawa nic mówić, ... ponieważ dość drogo zapłacono mi moje nazwisko.

— One ośmieliły się ci to powiedzieć?

— Tak! — Cobyś ty był zrobił na mojem miejscu?

— Niech djabli porwą tę sprawę! — Cóż tam mój drogi, mówił dalej zmieszany spahis, słowo równie głupie nie może cię obrazić. Podobne nonsensa wyrrywają się w gniewie. Żalujemy, zaledwośmy je wymówili.

— Ale mój kochany, dodał zimno Jakób, odpowiedz na moje pytanie: cobyś zrobił na mojem miejscu? Ryszard odwrócił głowę i nic nie odpowiedział. Jakób mówił dalej:

— Wiem, że żal, o którym mówisz przyszedł zapewne, ponieważ próbowano złagodzić obelgę. Przypuszczając jednak zgodę pomyśleć by należało o przyszłości. Spodziewam się, że nie myślisz, abym po takich dyskusjach chciał rozpoczynać na nowo rolę męża będącego na utrzymaniu, co mi dano poznać w sposób upokarzający.

— Jakóbie, zawołał Ryszard chwytając go za rękę, cóż to, oszalałeś! Ty?... mogłeś to myśleć będąc tem czem jesteś?... Zaszczyciłeś mnie imieniem brata i mnie się za to dla ciebie wdzięczność należy.

— Och ja nie wątpię o twojem zdaniu co do tego. Tylko są pewne rzeczy, których uczciwy człowiek nie powinien sobie dać powtarzać. Omyliliśmy się obadwaj: ty robiąc mnie swoim bratem, ja zaś robiąc sobie iluzję co do stanowiska, jakie przyjąłem na siebie. Dzisiaj uznajemy naszą pomyłkę, otóż i wszystko.

— Ale zastanów się mój kochany, rzekł Ryszard, rozwód!... To przestraszające.

— Przestraszającą byłaby mój drogi, sromotna existencya tyle złamanych małżeństw, bez przywiązania, bez godności i szacunku, gdzie całe zaufanie jest zniszczone i szacunek stracony. Mąż swoją drogą, a żona swoją, lub jedno z tych skandalicznych rozłączeń podług waszego kodeksu, będące rozpaczliwszem od jarzma i wzbudzające tylko ogólny nieszacunek.

— Ale rozłączenia takie nie zabijają przynajmniej nadziei...

— A jakaż dla nas nadzieja? odparł Jakób, na mojem miejscu jeszcze raz cię pytam, potem co zaszło, czy wzięłbyś napowrót te kajdany, których człowiek ze sercem nie zdolny jest dzwigać, nie utraciwszy szacunku dla siebie samego?

— Hm do djabła rozwód?... powtórzył jeszcze Ryszard.

— Mój drogi, odparł zimno Jakób przerywając mu, ulegasz przesądowi waszych obyczajów. Ja pochodzę z kraju rozsądku i większej prostoty wyznania, gdzie prawo robi świętym węzeł małżeństwa, nie pozwala bynajmniej przykuwać do siebie dwóch nieszczęść. Genowefa ma lat dwadzieścia, powrotny związek pomiędzy nami jest niepodobieństwem.

— Ni panna, ni żona, ni wdowa, skazałbyś ją na istnienie pełne przymusu, lub niebezpieczeństw, aby włóczyła za sobą po świecie hańbiącą nazwę, którą złe języki obrzucają rozwódki... Ma lat dwadzieścia, czy za nic uważasz jej serce, wyobraźnię, marzenia, nawet prawo, albo potrzebę życia, silniejszą od naszych zwodniczych zamiarów.

— Z ukończeniem naszego rozwodu, będzie jej wolno odbudować przyszłość uczciwej kobiety, a z naszego rozłączenia nie zostanie nic prócz smutnego wspomnienia zapomnianego błędu.

— Mylisz się, rzekł poważnie Ryszard, patrząc mu w oczy, pomiędzy wami zostanie także dziecko.

— Co ty mówisz? zawołał Jakób.

— Mówiąc ci o Genowefie, nie powiedziałem jeszcze wszystkiego. Jest ona przy nadziei, a cel mego przybycia był właśnie, aby cię o tem uwiadomić, co spodziewam się, że zmieni wasze zamiary.

Na to wyznanie, Jakób zbladł, Ryszard schwył go za rękę z obawą. Na chwilę zapanowała cisza pomiędzy niemi.

— Posłuchaj, rzekł nakoniec Ryszard, przyznaję ci prawo rozłączenia, jeżeli myślisz, że twoja godność ci je nakazuje. Pytałeś mi się trzy razy, cobyś zrobił doznawszy podobnej obelgi, moje milczenie odpowiedziało ci, że uczyniłbym tak samo, jak ty. Jednakże mój drogi zrozumiesz teraz, że przybycie dziecka zmusza nas do zaniechania zamiaru rozwodu, którego przyczyna dotąd nie znana, przybrałaby odtąd hańbiące znaczenie, mogące naruszyć honor nas wszystkich. A tego, wiem, że nie zrobisz.

Jakób upadał pod tym niespodzianym ciosem. Myślał o Aurorze, o swojej miłości i przysięgach. Fatalność przyciskała go, ale prawy jego charakter wymagał po nim tej ostatniej próby!

— Dobrze! rzekł do Ryszarda, odwracając oczy, będę czekać!

Smutnie zakończył się dzień dla tych dwojga ludzi związanych ze sobą węzłem braterskiego przywiązania. Chociaż nie domyślał się niczego, Ryszard znał za nadto dobrze Jakóba, aby się spodziewać, że zwycięży jego dumę, nakłaniając go, choćby tylko dla pozorów świata do wspólnego pożycia z żoną. Umówili się, że Genowefa do chwili urodzenia dziecka zamieszka w Glycines przy panu de Trévannes i Urszuli. Mąż będzie ją widywać przyjeżdżając czasami do ojca.

Nazajutrz rano, Ryszard odjechał. Odprowadziwszy szwagra do powozu, Jakób udał się do Kérouac. Aurora oczekiwała go u wnijścia do parku.

— Co się stało?... zawołała z przecuciem nieszczęścia, widząc go tak wzruszonym.



Na udzieloną sobie wiadomość, oniemiała. Przybyli zasmuceni do zamku. Jakób został jeszcze dwa dni, które przepędził na dodawaniu jęz otuchy. Czyż nie byli złączeni nierozzerwalnym węzłem? Co znaczyła zwłoka czasowa w obec dwóch serc stałych i pewnych swęj miłości. Aurora odzyskała wiarę w przyszłość. Pojęła, że trzeba było jęj się poddać. Pożegnanie nastąpiło rozpaczliwe, ale pełne wiary i nadziei. Pląkała, on unosił z sobą jęj duszę, a jednakże z po za łez uśmiechała się urokiem przyszłości.

Zostawił ją zrezygnowaną.

Szczęście uleciało z Kérouac, niestety wszystko tam mówiło o Jakóbie. Jego miejsce przy stole, pomiędzy margrabią a margrabiną, opuszczony fotel przy ścianie w salonie, zaczęta książka, zapomniana spiszruta; tysiące tych szczegółów przypominających nam obecność drogięj osoby i jęj oddalenie. Żal podwójnie się czuje, skoro przychodzi po dniach szczęścia; świeże wspomnienia dnia wczorajszego zaturawają nam podwójnie dzisiajszą samotność. Aurora nie mogła się uchronić od nieprzewyciężonego smutku, ogarniającego ją. Oddawała mu się z tą goryczą, z której kochankowie robią sobie cierpką rozkosz.

Matka niepokoiła się. Margrabia nie wtajemniczony w zamiary Jakóba, myślał, że interesa go powoływały.

— Otóż to szalone głowy! rzekł. Dla kilku miesięcy spóźnienia myślałby kto, że wszystko stracone. Jakób jest poważnym młodzieńcem; postępuje rozsądnie, myśląc przedewszystkiem o przyszłości.

Miesiąc upłynął od wyjazdu Jakóba. Listy jego przynosiły pociechę osamotnionej kochance, gdy naraz doniósł jęj, że zmuszony jechać do Genewy, zatrzyma się tydzień u ojca.

Wiadomość ta zatrwożyła niezmiernie Aurorę. — Będzie się bowiem widział z Genowefą. — Dziwna myśl powstała w jęj głowie: pojechać do niego, zadziwić go nawzajem niespodzianym przyjazdem, mówić z nim choćby chwilę tylko. . . . Wkrótce to błahe życzenie zrobiło się stałym zamiarem i nakoniec silnem postanowieniem. Zwierzając się margrabinie, już była zdecydowaną.

— Nie śmiem cię zatrzymywać, rzekła smutnie matka, nie usłuchałabyś mnie. . .

Margrabiemu, który o niczem nie wiedział, kazano się domyślać, że Aurora jedzie do Paryża, do Reginy. Pani de Kerouac zezwoliła na te niewinne kłamstwo.

Nazajutrz Aurora opuszczała zamek.

W Genewie pani de Ploëven stanęła w hotelu, zkąd natychmiast napisała do Jakóba. Nie uwiadomiła go o swoim zamiarze, z obawy, aby jęj w nim nieprzeszkadzał, bo niezawodnie byłby lękał się dla nięj trudów tak dalekięj podróży. Czekala z tym drżącym niepokojem, którego doznajemy w chwili dawno spodziewanej radości, będącym rodzajem febrы bojaźliwej, niecierpliwęj, zrazem bolesnej, wzruszającęj, słodkięj i drżącęj, gdzie najszaleńsze przeczucia mieszają się z najczulszemi objawami. — Jakże się opóźniał! — Gdyby też nieszczęsnym wypadkiem był odjechał. Gdyby nagły jaki interes zatrzymał go w Glycines? Ale może już nadchodził. Jednakże gdyby miał być zrażony tym krokiem, czynionym bez jego wiedzy, lub obrazić się, że robiła przed nim tajemnicę? — Nareszcie nadszedł, po dwugodzinnem oczekiwaniu.

— Pani tutaj? zawołał.

— Ja nawzajem robiąc panu niespodziankę przyjechałam, rzekła uśmiechając się. — Postaraj się pan, aby mnie ukryć. . .

— Ile dni pani mi ofiarujesz?

— Całe życie! . . . cały czas, pobytu pańskiego w Genewie.

— Wieczność zatem! Mam przez dwa tygodnie zajęcie tutaj.

Po pierwszych serdecznych zwierzniach, Aurora opowiedziała mu swoje zmartwienia. Jakób słuchał ją, rozczulony temi dziecinnemi obawami, zdradzającemi tak bardzo siłę jęj przywiązania, ale znajdowali się znowu razem tak jak w Kérouac i wszelki niepokój znikał. Wstrzymywany często licznemi interesami, Jakób mieszkał w mieście. Chodziło jednak o wyszukanie mieszkania Aurorze. Nie mogła pozostać w hotelu. —

Nazajutrz umieścił ją w szwajcarskim domku, na pół drogi od Glycines; poczciwi ludzie, którzy go strzegli, wystarczali na jęj usługi. Tajemnica ich była tam dobrze ukryta. Jakób przybywał często w wolnych od pracy godzinach, wieczorem razem jadali obiad; rano zaś wspólnie robili dalekie wycieczki w okolice.

Szwajcarka była cudna w swęj śnieżnej ozdobie; wyglądała jak pod berłem jakięj czarodziejki białęj i okrytęj dyamentami. Lśniące wierzchołki lodowców, potoki, których mętne tonie przesywały powłokę z piany, długie wstęgi dróg, zmrożone szronem, zachwycaly Aurorę cudownym swym widokiem, prawdziwie czarodziejskim. Okazywała dziecinną ciekawość dla kraju, który był jęj drogim z powodu, że w nim Jakób przebywał, stawiając mężnie czoło zimie. Wspartęj na jego ramieniu, uśmiechała się przyroda cała. Z pod jęj nawpółotwartych ust, białe ząbki zdawały się przesywać koronkę zasłony, wielkie oczy błyszczały głęboko, różowa pęc ożywiona przyjemnością biegania, zakwitła szkarłatnym rumieńcem. Wkrótce zapragnęła widzieć Glycines.

Pewnego popołudnia udali się tam, ukryci w głębi powozu. W przeciągu półgodziny spostrzegli willę. Przez otwarte okno Aurora mogła dobrze przypatrzeć się domowi, złożonemu z dwóch mchem porośłych skrzydeł. Mróz przypruszył srebrem liście. Przybyli na wzgórek, skąd był widok na ogrody. Tam wysiedli. Przez ogołocone z liści gałęzie, przypatrywała się białym murem, witającą ją, jakby w przeczuciu szczęścia, mającego wkrótce wśród nich zamieszkać.

— I cóż? . . . zapytał Jakób.

— Będziemy marzyć w Kérouac, a weselić w Glycines.

Tydzień upłynął w niewypowiedzianem szczęściu tego wspólnego pożycia, w którym należeli do siebie całkiem nieskazeni, czyści. Ten przedwstęp małżeństwa miał dla nich czarowny urok. Kiedy Jakób starał się urządzić jak najwygodniejszą mieszkanie Aurorze, przez niego wybrane, ona marzyła o pięknych wieczorach, sam na sam spędzanych, o ich słodkich gawędkach, o całym szczęściu ich miłości. Jednakowoż chmura zaćmiewała niekiedy umysł Aurory. Zmuszony bowiem bywać w Glycines, Jakób chcąc nie chcąc widywał Genowefę. To też nie ukrywała przed nim uczucia zazdrości, od którego nie mogła się uchronić, a które on uważał za dzieciństwo: bo czyż rozłączenie nie było dokonaniem i rozwód nie pożądanym przez oboje? Chociaż serce jęj dręczone było obawami, musiało się poddać.

Pewnego poranku, oczekując Jakóba, służąca oznajmiła jęj wizytę patronki jednego ze szpitalów kantonu.

— Proszę, niech wnijdzie, rzekła Aurora.

Wkrótce drzwi się otworzyły i weszła kwestarka. Nastąpił wspólny okrzyk zdziwienia. Aurora stanęła osłupiała, ujrzawszy kuzynkę Jakóba.



— Pani de Ploëven!.. rzekła Urszula podając jej z radością obiedwie ręce.

Aurora przezwyciężyła pomięszanie, starając się odpowiadać na szybkie zapytania panny de Péráz o zamek Roc, o jego uprzejmą dziedziczkę; nakoniec oświadczyła, że dla interesów przybyła do Genewy.

— Jaka szkoda, że pani Berthoret nie pomyślała o uprzedzeniu nas o tem! rzekła Urszula.

— Lecz teraz można szybko naprawić błąd ofiarując pani de Ploëven gościnność w Glycines, w zamian za uprzejme przyjęcie w Roc.

Aurora broniła się. Urszula chciała przynajmniej na nią wymódl, aby ulegając usilnym ich prośbom, zawiązała znowu z nimi stosunki, tak nieszczęśliwie przerwane.

— Już tam powzięłam przyjaźń dla pani! rzekła z uśmiechem.

Skoro nadszedł Jakób, Aurora opowiedziała mu to zdarzenie nadmieniając, iż panna de Péráz odeszła oświadczając, że jutro przyjedzie zabrać ją ze sobą na obiad. Było to przykre, ale odmawiając można było wzbudzić podejrzenie. Postanowili, że Aurora będzie towarzyszyć Urszuli do Glycines, on w ciągu jej wizyty przyjdzie i będzie udawać, iż nic nie wie o jej bytności w Genewie.

Ta konieczność udawania nie przestawała ich niepokoić. Mianowicie Aurora lękała się spotkania z żoną Jakóba. Mimo to przyrzekła, że przyjdzie. Przyjmując to zaproszenie, miała na myśli przekonać się bliżej o ich wzajemnych względem siebie stosunkach, dręczących ją jeszcze.

Urszula okazała się punktualną.

— Uprzedziłam Jakóba, rzekła, jesteś pani niecierpliwie oczekiwana. . .

Aurora odpowiedziała z przymusem, niezdolna panować nad swem wzruszeniem.

Pojechały. . . Powóz zatrzymał się przed gankiem willi, zaledwie miała siłę wysiąść z niego. Pan de Trévannes wybiegł ku niej i podał jej rękę z wylaną serdecznością. Jakób także się zbliżył. Wydawał się tak zimnym i spokojnym, że to dodało jej cokolwiek otuchy. Weszli do dużego, na angielski sposób umeblowanego salonu, urządzonego z wygodą, choć nie wybrednie.

Pani de Trévannes siedząca we fotelu, przed kominem, powstała, a witając się uprzejmie z Aurorą, przypomniała jej, nie bez wdzięku, że raz już kiedyś się widziały.

Wzruszona grzecznością pana de Trévannes i ujęta uprzejmością Urszuli, przezwyciężyła uczucie przymusu przy wejściu, spowodowane obecnością pani de Trévannes. Zachowanie się Jakóba w obec żony, chłodne ich obejście, które ktoś inny uważałby za rodzaj nieśmiałości, lub też obojętność, okazywało jej nieubłagane rozdwojenie. Pan de Trévannes, dumny swoimi zbiorami, wziął pod rękę panią de Ploëven, aby jej pokazać nowo sprowadzone rośliny; Urszula i Jakób szli za nimi. Uwolniona od swych obaw, Aurora uczuła się swobodną, szczęśliwą, że znajduje się w kole rodziny, w którym wkrótce miała złączyć swe szczęście i życie. Znajdowała w jego ojcu te same przymioty, które już była w Jakóbie ukochała: szlachetny i prawy charakter, otwartość w słowie, nawet ten uśmiech poważny, mający z powodu ich wielkiego do siebie podobieństwa, jeden i ten sam wyraz.

Dzwonek przywołujący na obiad, przypomniał im, że czas wracać.

Aby godniej przyjąć panią de Ploëven, zaproszono kilku bliższych znajomych. Aurora była roztertargniona; obserwowana. Ale na przekór zazdrośnemu swemu przypuszczeniu uczuła się zupełnie uspokojoną; zachowanie się Jakóba i Genowefy nie mogło budzić w niej żadnych wątpliwości. Wszystko świadczyło o ich koniecznym rozłączeniu. Nawet ceremonialny sposób brania się pana de Trévannes względem synowej, okazywał, że była tam cbcą.

Aurora odeszła wcześniej; Jakób odprowadził ją do mieszkania.

— Nie drzysz już więcej? rzekł do niej z czułością.

— Kocham cię, odpowiedziała swobodna i zachwycona.

## XI.

Przypadek kieruje życiem naszym! on zmienia nasze zamiary, wpływa nawet na nasze zdanie. Czyn, któryby nas oburzał, rozbierając go wydaje nam się prawie godziwym, skoro jest następstwem położenia, w które powoli okolicznościami jesteśmy wciągnięci. Umysł oswaja się z tem. Nie pochodzi to ztąd, aby sumienie miało się stać luźniejszym, ale odwleka z poprawą i wkrótce tłómaczy to, co wprzód za winę uważało.

O ile ostrożni były spotkania się Jakóba z Aurorą w Glycines, o tyle tajemnica zaślaniająca ich, musiała oddalać wszelkie podejrzenia. Wdowa, wolna, pani de Ploëven należała do świata, w którym zanadto dobrze była uważana, aby pobyt jej w Szwajcaryi nie był dość usprawiedliwiony powodami, o których mówiła. Jednakże o ile pragnęła jak najwięcej unikać żony Jakóba, o tyle niepodobno jej było oprzeć się uprzejmym zaproszeniem Urszuli inie okazywać jej wdzięczności za doznawane względy. Dziwnym kaprysem losu sama pani de Trévannes przyjmowała ją z żywym interesem. O to była spokojna.

— Czyż nie żyjemy już na spokojnej stopie? mówił Jakób i sumiennie sobie powiedzieć nie możemy, że mamy prawo się kochać?

Sofizmata serca tryumfują zawsze nad skrupułami rozumu. Aby wzmocnić jeszcze spokojne ich zaufanie ku sobie, jedna z tych lekkich niemocy w stanie pani de Trévannes nie pociągających za sobą żadnych złych skutków, zmusiły ją na kilka dni do zostania u siebie. Spokojność widywania się i przepędzania długich wieczorów w poufnem kółku była dla Jakóba i Aurory tak słodkiem szczęściem, że bywała tam prawie co wieczór. Niekiedy słuchając rozmów Urszuli i pana de Trévannes, wspólna myśl przenosiła ich de Kérouac, do tego drugiego ogniska ich miłości i rozumieli się spojrzaniem. Sympatya Urszuli ku Aurorze zamieniała się w poczciwą i szczerą przyjaźń. Wyrodziła się z tego poufałość pozwalająca im naruszyć familijną tajemnicę, którą pani de Ploëven niezawodnie przeczuwała.

— Żal mi Genowefy, mówiła Urszula, bo jestem przekonana, że w głębi serca żałuje. . .



— Czy ci to wyznała? odparła żywo Aurora.

— Nie, duma broni jój tego, ale macierzyństwo tworzy wielkie cuda. . . Nie byłoby naturalnem, gdyby zrobiło ją poważną? Zdaje mi się, że charakter jój już się zmienił. . .

— A gdyby też prosiła go o przebaczenie? zapytała drżąc Aurora.

— Niestety! boję się o to, to już za późno; Jakób jest zdecydowany, nie przełamie swój dumy.

To wypowiedzenie Urszuli utwierdziło Aurorę w jój nadziejach. Każdy dzień wzmacniał jój przekonania.

Tymczasem niespodziany wypadek zmienił zażyłość kochanków. Pewnego wieczoru bowiem, przybył niespodzianie Ryszard, szwagier Jakóba.

— Jakto! bez uwiadomienia? . . . zawołała Genowefa, rzucając mu się na szyję.

— Jak zawsze. . . Mógłbym być zmienić zdanie w podróży.

— Ale w takim razie jest telegram, . . . dodała Urszula wybuchając śmiechem.

— Na słowo! Myślałem o tem w Culoz. . .

Rozmawiając, podróżny wszedł na środek salonu.

— Mój drogi, rzekł pan de Trévannes przyprowadzając go przed siedzącą przy kominku Aurorę, chodź niechaj cię przedstawię pani hrabinie de Ploëven jako najwięcej zachwycającego i najprzyjemniejszego z szaleńców.

Młody człowiek się skłonił. Aurora lekko skinęła głową, nie mogąc ukryć rumieńca. Kiedy Genowefa z Urszulą prowadziły Ryszarda do gościnnego pokoju, zbliżyła się do Jakóba.

— Otóż nasze szczęście stracone, rzekła po cichu.

— Przynajmniej przykrość ta długo nie potrwa.

— Mój Boże! dodała, jeżeli mnie też poznał! . . .

Ale skoro powrócił Ryszard, wyraz jego twarzy uspokoił ją. W zachowaniu się jego nie było najmniejszej ukrytej myśli.

— Jak się miewa Chauve-souris? zapytała go figlarnie Urszula.

— Moja wierzchówka. . . Jest chora.

— I przyjeżdżasz pocieszać się z nami. . .

Obecność kapitana była promykiem wesołości. Głos jego donośny brzmiał wesoło jak fanfary. Miesiąc spędzony niegdyś w Glycines, przed szlubem siostry, obeznał go z gospodarzami domu, szczególnie z poczciwą Urszulą miewali najzabawniejsze utarczki.

— Wiesz, rzekła, mam numer wakujący w moim szpitalu, zostawiam go dla ciebie.

— Strzeż się Urszulo. . . Umieram z głodu, ale po kawie zacznym znowu brać się do ciebie. . .

— O tak! piękny z ciebie kochanek! . . . Znam ja się na waszych umizgach. Ty także strzeż się, posyłam po notaryusza.

— Zabawię tutaj trzy dni; będziesz mieć więcej czasu na to niż potrzeba! . . .

Aurora spostrzegła często wzrok Ryszarda w siebie utkwiony, a ten wzrok uciskał ją. Czyby szukał wspomnienia? . . . Po obiedzie zebrał się w salonie, gdzie panie dozwoliły na palenie cygaretów. Genowefa się ożywiła; przybycie brata było dla niej radością.

Sprzeczeki z Urszulą nie ustawały. Samotnie siedząca Aurora, niespokojna, myślała o tem co Ryszard o niej sądzi, jeżeli ją poznał i co w swem roztrzepaniu mógł wyjawić rodzinie de Trévannes.

Odprowadzającemu ją Jakóbowi, wynurzyła swe obawy.

— Nie widział pani w Kérouac, odpowiedział; ale bądź spokojną, choćby i tak było, Ryszard zanadto jest un homme du monde, aby nie być dyskretnym.

Na drugi dzień, rzeczywiście Jakób pocieszył Aurorę. Szwagier zapytywał go o nią, jak o obcą. Z wszelką pewnością nie przypominał jój sobie. Pewny o umówionym rozwodzie zdawał się przyjmować z rezygnacją położenie, tak jasno mu przedstawione w Kérouac i nie robił żadnej aluzji, ani starał się dawać żadnej rady. Było to jedną pociechą więcej dla Aurory, obawiającej się cokolwiek wpływu tój dawniej przyjaźni. Dwa razy towarzysząc Urszuli i Genowefie, Ryszard odwiedził nawet Aurorę. Był zresztą dla niej uprzedzająco grzecznym, prawie nieśmiały, tworząc kontrast ze swobodnem swem braniem względem panny de Péráz.

W oznaczonym przez siebie dniu nie odjechał. Urszula żartując, obwinała o to piękne oczy pani de Ploëven.

— Miałbyś być zakochanym? zapytała go z filuteryą.

— Czemuż nie?

Genowefa i Urszula były chętnymi współniczkami tój ukrytej słabości.

Ryszard wynajdywał sposobność widywania się i byłoby śmiesznością gniewać się o podobne żarty. Wyrodził się ztąd pewien przymus w zażyłym stosunku Jakóba z Aurorą, który chodził do niej nie bez obawy, spotkania tam swego szwagra.

Ryszard urządził wycieczkę, lecz Jakób do niej nie należał, z powodu tego Aurora udała że jest cierpiącą, aby odrzucić tę nową uprzejmość.

Nazajutrz przybył Ryszard dowiedzieć się o jój zdrowie. Czekając na nią przy oknie w salonie, spostrzegł mężczyznę przechodzącego przez ogród. Prawie w tój samej chwili drzwi się otworzyły. Obrócił się ku pani de Ploëven. Z twarzy odgadła jego zadziwienie. Widział Jakóba.

— Jakto! to pan! rzekła żywo, ukrywając pomięszanie, gdybym to była wiedziała? . . . Pan de Trévannes wyszedł w tój chwili. . . Przyszedł się zapytać czy jeszcze żyję. . .

Pragnąc zapobiedz przypuszczeniu jakiegóś tajemnicy, nie mogła ujść zarumienienia, ale pierwsze słowo Ryszarda uspokoiło ją.

— Ja równie jak on spieszyłem się, rzekł z prostotą, a jeżeli mnie wyprzedził, to tylko dla tego, że droga z Genewy, krótszą jest jak z Glycines. Widząc panią, domyślam się, że nieznośna migrena ustąpiła dziś rano! — Wczoraj urządziłem wycieczkę dla pani!

— Zabawiliście się przynajmniej?

— Pani tam nie byłaś.

— Strzeż się pan! to galanterya. Urszula będzie zazdrosna.



Mimo żartobliwego tonu mowy Ryszarda, miarkowała w nim cień podejrzania. Starła się słuchać z uśmiechem opowiadania całodzi ennej wędrówki i wdrapywania się na skały, żartując z nim i wspominając przy każdej sposobności imię Urszuli. Kiedy odchodził zapytała się o mieszkańców Glycines.

— Ach mój Boże! zawołał, zapomniałem, że polecieli mnie prosić panią na jutro na obiad. Tylko nie omieszkaj pani przybyć, jest to bowiem wielka uroczystość.

— Jaka?

— Obchodzimy 20letnią rocznicę Genowefy!... Oznajmiam pani, dodał z westchnieniem, że moja biedna siostra będzie bardzo wesolą; nasze kłopoty rodzinne nie są bowiem obce dla pani. Ale wreszcie, kto wie?... Jakób posiada najszlachetniejsze serce, jakie znam; dzień ten przyniesie nam może jakąś nadzieję.

Słowa te wydawały się Aurorze urojeniem, Ryszarda, lub po prostu wyrazem jego własnych życzeń. Mimo to zostawił ją niezadowoloną i udręczoną na myśl, że wiedział o wizytach Jakóba.

— Ryszard widział pana, rzekła, skoro nadszedł Jakób, powierzając mu swoje obawy i przykrość z jaką znosiła jego natrętne grzeczności.

— On żartuje, dodała, a jakżeż ujść jego ciekawości?... Nie powiedziałaż, że nam zamąci szczęście naszego życia?

— A więc! moja droga, odparł Jakób, interesa moje załatwione, jak będziesz chciała, to odjedziemy.

— Och! tak, zawołała, odjedźmy! Widząc go nie mogę oprzeć się przeczuciu nieszczęścia...

Umyślili, iż oznajmi Trévannom, że nagła wiadomość ją powołuje. Jakób w miesiąc później miał się z nią zjechać w Paryżu.

Aurora udała się do Glycines, wolna od udręczenia, swobodna na myśl, że wkrótce odzyskają dawną spokojność. Jakób nie przybył jeszcze z Genewy. Wiadomość o odjeździe pani de Ploëven wzbudziła ogólny żal. Oddana rozmowie Aurora uważała, że Genowefa była roz-targniona, niespokojna, zapominała się w odpowiedziach; chwilami zbliżała się do okna i patrzyła z wyteżeniem na drogę, poczem siadała napowrót z niecierpliwością i zwątpieniem. Mieli już siadać do stołu, kiedy nadszedł Jakób — Wyglądał jakby nie wiedział o przyczynie tej familijnej uroczystości

— Obchodzimy 20letnią rocznicę Genowefy, rzekł Ryszard.

— Ach!

Tyle obojętności wlał w ten wykrzyknik, że Urszula spojrziała z wyrzutem na niego. Pani de Ploëven odeszła wcześniej. Urszula uścisnęła ją kilkakrotnie, obiecując odwiedzić ją w Paryżu. Pan de Trévannes wymógł na Aurorze obietnicę przyjechania na przyszłe lato, na dłuższy czas do Glycines. Będąc na dworze, odetchnęła Wsparta na ramieniu Jakóba, czuła się swobodniejszą.

Mówili o bliskim swem połączeniu, urządzając sobie życie aż do dnia tyle upragnionego.

Nazajutrz, Ryszard przybył, aby powtórzyć swe pożegnanie.

— Przygotowuję się do podróży, rzekła Aurora, wybaczysz pan, nieprawdaż, że pozwoliłam czekać na siebie?

— Mnie to należy się, odpowiedział Ryszard, prosić panią o przebaczenie, że ośmieliłem się przybyć po raz ostatni aby uścisnąć jej rękę.

— Chciałbym zwłaszcza błagać panią o pozwolenie odwiedzenia jej w Paryżu.

— Przyjedź pan, odpowiedziała Aurora z uśmiechem.

— Wydaję się pani szalonym... przyznaj, ... odparł zmieniając głos.

— Och!

— Trudno to powiedzieć, pojmuję...

— Prawdziwie, przesadzasz pan. . . Myślę, że jesteś cokolwiek lekkomyślnym!

— A więc mylisz się pani, odparł. Pozwalasz mi pani przekonać siebie?

Powściągnęła ruch niecierpliwości.

— Słucham rzekła z poddaniem się.

— Nie oburzaj się pani na paradoks, ale tak samo jak nie ufam kobietom wychwalającym własną cnotę, kiedy tak łatwo mogłyby ją okazać w czynach, tak samą sędzę, że powaga na czole nie zawsze bywa powagą serca, i że mogłoby być, iż szalenieć jak ja, byłby zdolnym do poważnego uczucia.

— A cóż to może mnie obchodzić? odparła Aurora-udając, że nie rozumie.

Ryszard się zawahał.

— Może chciałem bronić własnej sprawy, odpowiedział.

W tej chwili wszedł Jakób.

— Wszystko gotowe do podróży, rzekł do Aurory.

— Pan przypominasz mi, że kolej nie czeka. A zatem panie kapitanie, dodała, do widzenia wkrótce w Paryżu...

— Jeżeli pani pozwoli, odparł, będę wraz z panem de Trévannes towarzyszyć jej na kolej.

Trudno było opierać się żądaniu, mogącemu być wreszcie obowiązkiem prostej grzeczności. Trzeba było znieść obecność Ryszarda, aż do chwili wejścia Aurory do wagonu. Unieszczęśliwieni oboje tym przymusem, w uścisku ręki Aurora wynurzyła Jakóbowi całe uczucie swjej duszy, podczas kiedy wzrokiem dawała mu tysiące poleceń, tych poleceń w chwili pożegnania, gdzie zdawałoby się, że zwierzenia cisną się na usta, aby zostawić więcej wspomnień pozostającemu. Oni tylko pojmowali ile w pożegnaniu ich mieściło się nadziei i miłości.

KONIEC CZĘŚCI II.